№ 2. Warszawa, dnia 8 Stycznia (27 Grudnia) 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2 Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50.



O ubiorach.

5 Stycznia 1898 roku.

Przy rozpoczętym karnawale otrzymaliśmy piękne próbki materyi jedwabnych, odznaczające się nowym zupełnie gustem. W jasnych, kolory niewydatne: blado-różowy, blado niebieski, blado lilla i t. d. w ciemniejszych niekiedy żywe, np. szmaragdowy, morderowy, fiołkowy. Co do rodzaju materyi najmodniejsza dziś mora, ale całkiem odmienna od dawnej. Tę morę mięszają do wszystkiego, do pekinu w szerokie pasy, do materyi w drobny lub większy rzucik i t. p.

Najmodniejsza mora zwana *ondulée* (falista), tworzy na materyi wyciśnięte w poprzek paski wężykowate, zwykle wązkie, niekiedy rozszerzone.

W ogólności, wszelkie przerabiania i pasy na materyi idą w poprzecznym kierunku; odpowiada to szczególniej osobom wysokim, przeciwnie dla osób niższego wzrostu konieczny do takich sukien staje się tren. Obecnie używane treny małe mają rozmiary, jest to poprostu przedłużenie tylnych brytów na pół łokcia, a co najwięcej na łokieć.

Oto szczegółowy opis pięknych próbek, jakie mamy przed oczyma.

Na balowe lub wieczorowe suknie: materya w kolorach bardzo bladych: różowym, błękitnym, lilla (*mauve*), srebrnym, złotawym, mieniona z białem; potem przechodzą białe poprzeczne paski o cal oddalone od siebie. *Na obiady proszone lub wizyty* takaż materya w kolorach cynamonowym, fijołkowym i *bordeaux*; na tem idą paski w tymże samym kolorze lecz w mocniejszym odcieniu.

Modny także pekin w podłużne pasy atłasowe i grosgrin w różnych kolorach; najczęściej pas atłasowy bywa czarny lub ciemny; na matowym przechodzą w poprzek pasy wyciśnięte w morę.

Inny znów pekin oryginalny; jeden pas czarny atłasowy, drugi mat w kolorze *bordeaux*, jasno-szafirowym lub białym, na tym przechodzi drobna krateczka czarna.

Do wielkiego ubrania widzimy pekin w pasy atłasowe białe, mięszane z różowym, lilla, albo złotym, przez to przechodzi w poprzek deseń w ostre zęby w tychże kolorach, przerabiany matowo.

Pojawiła się w tym roku nowa całkiem materya. Na tle w jasnych albo ciemnych kolorach przechodzą w poprzek wypukłe pręgi, jakby atłaskiem haftowane, w blizkich odstępach, każdy prążek grupy w pośrodku zwęża się i znów staje wypuklejszym, co sprawia rozmaitość dla oka. Materya ta, jednakowa z obu stron, może być odwróconą w razie potrzeby.

Odznacza się również materya cała w kwadraciki, jeden z nich atłasowy, drugi mat, tworzy to szachownicę w jednolitym kolorze.

Do strojnego ubrania zwracają uwagę materye w kolorach różowym, błękitnym, lilla, mienione z białym. Na kolorowem tle przechodzi biała, falująca girlanda w deseń. Między jedną a drugą w odstępie zasiany biały groszek.

Z ciemnych materyi zapiszemy tu *reps szkocki* w podłużne pasy mat i atłasowe, każdy pas obwiedziony wąziuchnym paskiem w żywych kolorach: pąsowym, zielonym, złotawym; tworzy to wypukły sznurek, jakby atłaskiem zahaftowany.

Dla osobliwości wspominamy tu *adamaszek japoński*; na ciężkim atłasie, blado-niebieskim, różowym, lub paliowym, idzie ogromny rzut z czarnych fantastycznych hieroglifów, pomiędzy temi dany zarówno fantastyczny deseń przerabiany złotawym jedwabiem.

Inna materya, trochę mniej ekscentryczna, *Damas Orientale*, składa się z jasnego tła i z wielkich bukietów, w tymże samym, ale ciemnym kolorze.

Aksamit bardzo używany w tym roku. Obok ciężkiego, jedwabnego, który nigdy nie wychodzi z mody, ale odstrasza wygórowaną ceną, widzimy lekki pół jedwabny, nierównie dostępniejszy. Ma on tylko nazwę aksamitu, gdyż pomięszany ze zwykłą materyą, stanowi jej całą ozdobę. Przytaczamy tu parę odmian.

Materya pół jedwabna w pasy fijołkowe, zielone i *bordeaux*, na tem przechodzi krata z wązkich prążków czarnych aksamitnych.

Inny znów rodzaj: tło półjedwabne w drobną kratkę lub prążki, na to idzie rzut z czarnych liści aksamitnych w formie bardzo strzępiastej.

Przejdźmy teraz do gotowych sukien zimowych. W pracowni pani Elizy Petit (ulica St. Lazare 77), widzieliśmy piękny ich dobór, przygotowany na wysyłkę do Nicei. Oto ich szczegółowy opis:

Kostyum na wizyty, morowy, w kolorze lilla popielatym. Mora wyciskana w podłużne pasy bardzo szerokie. Przez całą spódnicę w poprzek idą wązkie paski z wydrowego futerka w liczbie siedmiu, coraz węższe w miarę jak zachodzą do góry. Stanik w rodzaju bluzki, przód w środku gładko przystaje do figury, po bokach plisowany w zakładki. W górze idzie karczek, objęty futerkiem, ścięty w ząb na przodzie i na plecach; od niego na ramiona wybiegają podwójne epolety. Rękawy zupełnie obcisłe, w odstępach zaplisowane. Pasek morowy, spięty na złotą klamrę.

Drugi kostyum wizytowy z sukienka, w kolorze skóry duńskiej. W tyle od pleców idzie druga spódniczka, spada przeszło na łokieć;

po bokach podcięta w kant, odwrócona do przodu, tworzy długi do ziemi fartuszek. Stanik z baskiną i gładki. Na wierzch dana chusteczka szafirowa aksamitna, plisowana w zakładki, objęta futerkiem bobrowem, z kołnierzem podniesionym w górę; wązka na ramionach, sięga tylko do stanu, obciska ją pasek skórzany, spięty na metalową sprzączkę. Rękawy gładkie, bardzo wązkie.

Trzeci strojny kostyum wizytowy z jedwabnego rypsu popielatego. U dołu spódnicy pas futerka szęszylli, nad tem dana trzy razy torsadka ze szneli w tymże samym kolorze. Stanik otwarty, z wysokim kołnierzem Médicis, objętym szęszyllą. Przody naszyte w drabinkę torsadą sznelową. Takaż drabinka idzie poniżej stanu na boki spódnicy, tworząc niby długie kieszenie. Każdy rząd torsady zakończony od przodu guzikami z konchy popielatej. Z pod otworu stanika wygląda plastron aksamitny w kolorze *bordeaux*.

Czwarty kostyum spacerowy w ciemno-wydrowym kolorze, z tkaniny miękkiej z długim puszystym włosem, naśladującym futerko. Stanik gładki, obciśnięty skórzanym paskiem. Wyłogi szeroko odwinięte w ząb szpiczasty z futra wydrowego — kołnierz wysoki futrzany. Rękawy płaskie, lekko namarszczone u ramion.

Piąta suknia balowa, z mory blado-różowej z małym trenem. Stanik wycięty kwadratowo z różowego atłasu, powleczony jedwabnym muszlinem mocno namarszczonym. Na to idzie wycięte *bolero* morowe, przybrane rzęsistym żabotem z muszlinu jedwabnego. Rękawy krótkie morowe, lekko nabufowane, zakończone muszlinowym wolancikiem. Na lewem ramieniu położone płasko różowe strósie pióro, podpięte z przodu bukietem róż bez liści.

Seweryna Duchińska.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

Z zamiłowania, dogadzając sobie ciocia Dysia leczyła chłopów, i marzyła jakby to pięknie było, żeby dwie stancye w czworakach zająć na szpitalik.

W Niedzielę snuła sobie na ten temat plany:

— Dwie stancyjki bielutkie, łóżka czyste, biała pościel, apteczka, wanna. Bo to przychodzi chory — dasz lekarstwo, on pójdzie do chaty, zje co niezdrowego, albo wyjdzie w nocy na mróz, albo zabrudzi ranę i wszystko przepadło!

— Może ci jeszcze do tego szpitala parę szarytek się chce, i Kosińskiego z Warszawy! — dogadywała pani Taida.

— Pewnie, że szarytek mi się chce, ale jak nie wolno, to nie! Dozorczynię bym znalazła, a doktorem powinien Włodzio zostać!

I dalej roiła ciocia Dysia już w myśli.

Otóż nie roiła naprożno. Pewnego roku, gdy ogromnie obrodziła pszenica, a Włodzio świetnie skończył gimnazyum, pani Taida kazała opróżnić dwie stancye w oficynie, i na imieniny cioci Dysi położyła przed nią klucz i sto rubli.

— Oto masz na twój szpital.

— A ja jadę do Kijowa na medycynę! — rzekł Włodzio.

A ciocia Dysia zaczęła z radości płakać.

Założył się tedy szpitalik i pakowne były te dwanaście godzin cioci Dysi, bo i to się w nich pomieściło.

Chłopców swoich wychowywała pani Taida surowo.

Malcy hartowali członki i zdrowie chodząc boso, jeżdżąc oklep konno, mało się ucząc, do ośmiu lat. Potem przygotowywał ich do gimnazyum miejscowy nauczyciel wiejski i szli do szkół. Matka osobiście uczyła ich historyi, ciocia Dysia religii, i szli w świat.

Obydwa mieli stancyę u znajomego jurysty w gubernialnem mieście, gdzie pani Taida była o nich spokojną i nie widywała od wakacyi do wakacyi.

Ale po paru latach musiała pani Taida umieścić ich u profesora. Wtedy zaczęła ich odwiedzać co parę miesięcy, a pisywać co tydzień.

Gdy mieszkali jeszcze w domu, nad łóżkiem, pod świętym obrazkiem miał każdy pęczek brzeziny. Nie był to pusty symbol. Matka miała gniew prędki, a rękę skorą — z brzeziną tą bywali często w bliższych stosunkach. Gdy wyjechali do szkół, i wrócili w mundurach na wakacye, ujrzeli ze zgrozą, że brzezina była na dawnem miejscu. Włodzio starszy, śmielszy, zerwał swoją ze ściany i wyrzucił przez okno. Kazik, młodszy, dziecko ambitne i skryte, ino zębami zazgrzytał, ale nie tknął.

Nazajutrz, gdy pokazali cenzury i list Ozierskiego, przekonali się, że symbol zachował swą dawną siłę.

Włodzio dostał za zły stopień z arytmetyki, Kazio za skargę Ozierskiego, że we dwoje z jego córką wybrali się pewnego dnia niedaleko, bo tylko do Ameryki. Złapano ich za rogatkami, gdyż mieli zamiar iść pieszo do Hamburga, a na przejazd okrętem posiadali całe trzy ruble.

Po odnowieniu stosunków z brzeziną nastąpił morał krótki, bo się pani Taida śpieszyła w pole.

— Włodziu, kto nie umie rachować, ten robi długi, a zatem się hańbi. Rozumiesz! zapamiętaj sobie, jeśli wydasz kiedy grosz pożyczony, wyprę się ciebie. A pamiętaj, że przez całe życie może nie doczekasz się grosza, który będziesz mógł nazwać własnym, tyle masz obowiązków! Wyrzuciłeś rózgę, smarkaczu, a ja ci zapowiadam, żebyś swoje wady wyrzucił, wtedy ja sama ją sprzątnę. A tymczasem szanuj ją, boś do innego mentora jeszcze nie dorósł!

Włodzio nadąsany, zbuntowany, wybuchnął:

— U nas w klasie nie biją, my nie wstępniaki!

— A to wielka szkoda, że nie biją, i tembardziej ja będę bić. Zresztą masz rózgi na czapce, żebyś o tem pamiętał.

— To nie rózgi, to laur! — oburzył się Włodzio.

— Laur, laur, patrzajcie go! Ano, to się staraj, żebym ja w to uwierzyła. Dla mnie to rózgi, wasze godło.

Tu się zwróciła do Kazia, który zaciąwszy usta, coraz bardziej, chciał uciec do Ameryki.

— A ty, fąflu jeden, próżniaku, uciekać chcesz. A wiesz ty, kto ucieka? złodzieje, zbójcy i hultaje. Zkądeś wziął te trzy ruble — gadaj zaraz. Możeś pożyczył u kolegi?

— Nie — bąknął Kazio.

— Więc zkąd je miałeś?

Kazio milczał. Wiedziała pani Taida, że gdy się zatnie, żadna siła i mus nie doprowadzi go do wyznania. Dała tedy na ten raz za wygranę.

Takie zwierzenia otrzymywała ciocia Dysia.

Przepadali za nią chłopcy, była ich powiernicą, pocieszycielką, często orędowniczką u matki.

Ciocia Dysia mitygowała ją, a im wmawiała kult dla matki, opowiadała jej troski i kłopoty, jej nadzieje w nich pokładane, ich obowiązki względem niej.

Lata szły po latach, chłopcy uczyli się dobrze, coraz rzadziej spotykali się z brzeziną, wreszcie przeszła w myt, jeszcze groźny, ale coraz niewyraźniejszy. Zarysowały się też coraz wyraźniej ich charaktery.

Na wakacye Włodzio przywoził książki i wiersze, był rozmowny, uprzejmy, wesół, figlarz i swawolnik. Kazio rwał się do zajęcia w polu, lubił polowanie, konną jazdę, rybołóstwo, ale był co do swych myśli skryty, a przy ludziach dziki i nieufny.

Matka im wcześnie zapowiedziała, na co się mają kierować.

— Bo i po co to bałamuctwo — mówiła.— Niech odrazu każdy wie co ma i co go czeka, to nie będą błądzić. Rudy nie podzielimy, bo albo jeden weźmie las bez roli, albo drugi pole bez drzewa. W kupie to coś warte, a w kawałkach obadwa poginą i naturalnie czyja będzie wina — matki! Jeśli Bóg życie mi przedłuży, a las się trochę przetnie, to na spłatę Włodzia się zbierze. Niech sobie fach wybierze. A Kazio tu zostanie. Tylko ja cię tu nieuka nie wezmę, żebyś eksperymenta na Rudzie czynił, bąki strzelał i żeby ta kochana ziemia za ciebie pokutowała. Świat idzie naprzód, a rolnik musi więcej umieć niż kto inny. Pójdziesz tedy po teoryę na akademię, a praktyki to już ja cię douczę!

Był to wyrok bez apelacyi, a że ciocia Dysia po swojemu wyłożyła go chłopcom, więc przyjęli bez szemrania, i żadnych warunków; ludzie zaś nie bywali w Rudzie, więc żaden przyjaciel nie zbuntował chłopców na: „baby, co ich za nos wodzą!"

Dzień powszedni w Rudzie rozpoczynał się ze słońcem i jeden do drugiego był tak podobny jak paciorki różańca. Latem siostry prawie się nie widywały, zajęte każda w swoim zakresie, spotykając się na chwilę przy po-

siłku; jesienią i zimą spędzały razem wieczory, w sypialni pani Taidy. Gwarzyły o robotach ukończonych, o zamierzonych; cioci Dysi pracowite ręce migały igłą, pani Taida pisała dzienne rachunki, a na zakończenie w wielkiej księdze notowała główniejsze dnia wypadki. Księga ta była historyą jej życia, chciała ją synom zostawić na pamiątkę.

Gdy był dzień pocztowy, czytała głośno gazetę, a gdy otrzymała jaki list, wnet nań odpisywała. Listy były jednak rzadkością, oprócz chłopców, korespondowała tylko z siostrą, bratem i Ozierską. Tej ostatniej listy były zawsze tematem do rozmów. Ozierscy mieli trzy córki i była to zrazu zazdrość pani Taidy.

— Szczęśliwa, ma córki! Co to syn! Albo się go ma dla siebie. Byle od ziemi odrósł, idzie do szkół, uczy się ze dwanaście lat, a potem rzuci matkę dla lada lafiryndy i Bóg wie kogo może do gniazda sprowadzić. A żona odciągnie go do reszty od rodziny — i koniec! Córka, to moje własne, pokieruję jak zechcę, wstydu nie zrobi, długów nie zaciągnie i zaraz jest z niej pomoc i wyręczenie. Szczęśliwa Ozierska, nie będzie nigdy samotna.

Okazało się jednak, że każde szczęście ma rysę, którędy nieszczęście się sączy dla równowagi.

Ozierskim córki stały się kłopotem i zgryzotą całego życia. Najstarsza wyszła źle za mąż i wegetowała gdzieś w głębi Wschodu, nie śmiejąc nawet skarżyć się rodzicom, którzy odradzali jej z całych sił to małżeństwo. Druga poślubiła zdolnego technika, który w rok po ślubie został wysłany do Eupatoryi, i tam wlókł smętny żywot jakby wygnańca.

Najmłodsza, podlotek, zapowiadała się jeszcze gorzej. Samowolna, nieokiełznana natura, głowa szalona, przytem niesłychanie zdolna i ambitna, wypowiadała posłuszeństwo wszelkim prawom, zwyczajom, formom; trwała w nieustannym buncie z rodziną i społecznym porządkiem. Ona to z Kaziem uciekała do Ameryki, a potem rzuciła się do nauk, czytając najskrajniejsze dzieła, wygłaszając zasady rewolucyjne, emancypując się z pod władzy rodzicielskiej, wypowiadając wojnę całemu ustrojowi świata.

Listy Ozierskiej pełne były rozpaczy i troski, żyła w ciągłej trwodze o skandal, ucieczkę, jawną kompromitacyę. Włodzio, gdy przyjeżdżał na wakacye, opowiadał tysiące awantur „waryatki Stasi.”

Znała ją tedy dobrze z opinii pani Taida, zanim poznała osobiście.

Pewnego lata Ozierska przywiozła ją z sobą do Rudy na parę tygodni wakacyi.

Rachowała w duchu, że może wpływ pani Taidy coś dokaże, a wiejska samotność umityguje egzaltacyę dziewczyny.

Stało się jednak, że okrzyczana Stasia podobała się pani Taidzie — przynajmniej nie zrobiła jej wrażenia takiego dziwoląga, jakiego sobie wyobrażała.

Była nie ładna, ale uderzająca charakterem i intelligencyą, przytem zajęta żywo każdym przedmiotem, czynna, ruchliwa, ciekawa nowego otoczenia i życia.

— Oczerniliście ją, moja droga!—rzekła do Ozierskiej.—Cóż tam strasznego, kozak dziewczyna i tyle.

— Poczekaj! — westchnęła Ozierska.

D. c. n.

Z RUCHU UMYSŁOWEGO.

Nowe pismo. — Psychologja rozwoju narodów.

(Ciąg dalszy).

Przyswojona literaturze naszej przez d-ra Juliana Ochorowicza praca Gustawa Le Bon'a, „Psychologia rozwoju narodów” należy istotnie do dzieł wyborowych, w których rzędzie pomieszczoną została przez znaną firmę wydawniczą.

Dusza pojedyńczej jednostki tajemnicą jest i zagadką, przed której rozwiązaniem najpotężniejsze umysły cofnąć się muszą. Najpowierzchowniejsze tylko jej objawy są dla badaczy dostępne. Głębiny jej nienaruszona dotąd pokrywa zasłona. A dusza narodu? Z pewnością nie łatwiejszą do poznania. Gdzież jednak nie zapuści się myśl ludzka? Im bardziej zawiłe zjawisko, tem silniej pociąga ku sobie umysł myśliciela.

Dla niejednego z czytelników pytaniem może być jeszcze, czy istnieje naprawdę dusza narodu. Dla Le Bona pytanie to nie istnieje. Według niego ludzkość składa się z pojedyńczych, bardzo odrębnych indywidualności, obdarzonych cechami psychicznemi, niemal tak stałemi, jak fizyczne.

„Ustrój duchowy narodu — mówi on—jest nietylko syntezą składających go istot żywych, lecz przedewszystkiem syntezą jego przodków, którzy przyczynili się do utworzenia go. Nie żywi, lecz umarli grają główną rolę w życiu narodu. Są oni twórcami jego moralności i bezwiednemi sprężynami jego czynów.”

Tę duszę narodu uważa on za niezwalczoną potęgę.

„Dusza rasy — mówi — (musimy zaznaczyć, że dla autora wyraz rasa i wyraz naród są prawie jednoznacznemi) kieruje jej losami, ona stanowi o jej wierzeniach, instytucyach i sztukach pięknych; jakikolwiek składnik cywilizacyi weźmiemy pod uwagę, odnajdziemy ją w nim zawsze. Jest ona jedyną potęgą, opierającą się wszelkim innym. Przedstawia wagę tysiąca pokoleń, syntezę ich myśli.”

Dodaje jednak autor, że do cech psychologicznych stałych i niezmiennych, których skojarzenie stanowi duszę rasy, dołączają się podobnie jak u wszelkich gatunków anatomicznych cechy poboczne, wytwarzane przez zmienny wpływ otoczenia. Ciągle się modyfikując, dają one rasie pozór dość znacznej zmienności.

Życie narodu i wszystkie przejawy jego cywilizacyi: literatura, sztuka, instytucye, obyczaje, mowa, są prostem odbiciem duszy jego, „oznaką widzialną rzeczy niewidzialnej, ale bardzo realnej.”

W sztuce—u niektórych zwłaszcza ludów—najsilniej, najwyraźniej przejawia się ich duszą.

Artystą jednak prawdziwym, czy mówić będziemy o architektach, rzeźbiarzach czy poetach, jest ten tylko, kto posiada ową „władzę magiczną utajania w swych syntezach duszy epoki i rasy.”

„Bardzo wrażliwi, bardzo bezwiedni, myślący tylko obrazami, a rozumujący mało, artyści są w pewnych epokach doskonałem zwierciadłem społeczeństwa, w którem żyją, a ich dzieła najwiarogodniejszymi dokumentami, odtwarzającymi daną epokę. Są zanadto bezwiedni, ażeby nie byli szczerzy, i zbyt wrażliwi względem otoczenia, żeby mogli nie odbijać wiernie jego ideałów, jego uczuć, potrzeb i dążeń. Swobody nie mają, ale to właśnie stanowi ich siłę. Uwięzieni w sieci tradycyi, ideałów, wierzeń i pragnień swojej epoki i swojej rasy, ulegają wszechpotężnemu ich wpływowi, ponieważ wpływ ten odbija się w bezwiednych pracowniach duszy, z których właśnie wychodzą na świat dzieła sztuki.”

Przytoczyliśmy długi ten ustęp, gdyż pogląd wyrażony w nim wydaje nam się głębokim i słusznym, i mogącym nasunąć pewne refleksye niektórym pisarzom naszym, którzy uganiają się za egzotycznością wyrażeń, form, myśli, i w obłędnym pościgu tym oddalają się coraz daiej od źródła pieśni narodowej.

Powróćmy do naszego sprawozdania.

Nie każdy naród — mówi Le Bon — wypowiada duszę swoją za pomocą sztuki. Nie wszystkie też jej działy, nawet u ludów wysoce pod względem artystycznym uzdolnionych, mogą występować z równą siłą.

U Egipcyan np. literatura była zawsze ubogą, malarstwo miernem; przeciwnie w architekturze i rzeźbie pozostawili arcydzieła, które tylko Grecy w okresie najwyższego swego rozwoju zdołali przewyższyć.

Wprost przeciwnie Rzymianie. Dusza Romy wyraziła się w instytucyach państwowych, w organizacyi wojskowej, w literaturze wreszcie, którą nasze karmiły się przez szereg wieków.

Ale najlepszy przykład owej nierównoległości różnych składników cywilizacyjnych danego narodu, przedstawiają Hindusi. W budownictwie mało który naród zdołał ich przewyższyć. W filozofii przed wiekami dosięgnęli oni wyżyn ledwie że dostępnych dla nowożytnej myśli europejskiej. W literaturze wydali dzieła wspaniałe. Za to w dziedzinie nauki ścisłej nie dokonali nic prawie. Ich książki historyczne są zbiorem niedorzecznych legend bez żadnej daty i bez żadnego zapewne ściśle opisanego zdarzenia.

Są narody, które w historyi cywilizacyi nie zajmowały nigdy pierwszych miejsc, a które doszły jednak do wytworzenia najzupełniej indywidualnej sztuki. Do takich należą Arabowie, którzy w przeciągu lat stu tak potrafili przeobrazić architekturę bizantyjską, iż trudno w niej doszukać się pierwiastków, służących za wzory pierwszym ich mistrzom.

Są takie ludy, u których wszystkie składniki cywilizacyi pozostają w zaniedbaniu z wyjątkiem sztuki. Takimi byli Mongolowie. Pomniki wzniesione przez nich w Indyach, uważane są przez znawców za najwspanialsze dzieła rąk ludzkich.

Przeciwnie, istniały narody dochodzące do wysokiej cywilizacyi bez żadnych uzdolnień literackich lub artystycznych. Fenicyanie, których wyższość cała polegała na biegłości handlowej, cywilizowali świat starożytny, stanowiąc łącznik między rozdzielonemi jego częściami.

Przykłady te przekonywają nas o różnorodności przejawów, jakiemi dusza danego narodu się wyraża, i naprowadzają na wniosek, że istotnie duchowa treść, psyche każdego z nich wielce odmienną być musi, obok tego zaś wykazują nam, że sztuka jakkolwiek jest wyrazem zewnętrznym duszy, wytwarzającego ją narodu, nie jest bynajmniej dla wszystkich narodów najlepszą formą ich myśli.

Zagłębiając się w dalszym ciągu w dziejach ludzkości na każdym kroku dostrzega autor działanie tej tajemniczej potęgi, którą nazywa duszą ludu.

Wierzenia np. religijne przybierają inne zupełnie kształty, gdy czy to drogą przemocy, czy propagandy przenikną do narodów o odmiennych duszach. Innym jest buddyzm indyjski, innym chiński. Chrześcijaństwo każdy naród Europy w odmienny przyswoił sobie sposób.

Przechodząc dzieje podbojów, twierdzi, że duszy narodu przeobrazić nie są w stanie nakazy zdobywców, ani wywierany przez nich nacisk. Duszę narodu przeobrazić mogą nie zdobywcy lecz tylko wiekowe działanie przeróżnych wpływów. Do najważniejszych w tym razie zalicza krzyżowanie się z rasami innemi. „Wpływ pierwiastków cudzoziemskich przeobraża duszę rasy, a tem samem i jej cywilizacyę." Naród umiera, gdy dusza jego traci charakterystyczne odrębności swoje. Wielka dusza Romy przeobrażała się zwolna skutkiem zlewania się krwi rzymskiej z krwią barbarzyńców. Gdy upadło państwo rzymskie, Rzymian właściwie nie było już na świecie.

Zdobycie duszy zbiorowej dostatecznie i wszechstronnie ugruntowanej, jest dla każdego narodu szczytem jego wielkości. Rozkład tej duszy oznacza zawsze zbliżanie się godziny upadku.

Najbardziej zajmującymi i pouczającymi są końcowe rozdziały książki, w których autor mowi o roli idei w życiu ludów. Utrzymuje przedewszystkiem że idee przewodnie danej cywilizacyi są bardzo nieliczne. Powstają powoli w wybranych umysłach. Równie powolny jest ich zanik. Wpływ ich jednak na duszę narodu wtedy dopiero staje się widocznym, gdy z ruchliwych sfer myśli przechodzą w stałą i bezwiedną sferę uczuć, w której wytwarzają się motywy czynów. „Należą one wówczas już do charakteru i mogą wpływać na postępowanie."

Idea wtedy dopiero staje się siłą, gdy przeniknie w tłumy. Zazwyczaj dochodzi tam znacznie zmieniona, ale przedstawia wówczas coś niezwyciężonego, i występuje z gwałtownością nawałnicy. Żeby dokonać dzieł wstrząsających światem, nie trzeba być myślicielem ani artystą, można być człowiekiem niepiśmiennym, ale „*opętanym* przez ideę."

Fanatycy idei, wizyonerowie, ci, którzy posiadali najsilniejszą wiarę, najmocniejsze przekonanie, ci dokonywali rzeczy nieprawdopodobnych. Oni to, jak wyraża się autor, należą do tajemniczych sił rządzących światem. „Schylmy czoła przed potęgą idei!" — woła.

Przechodząc do roli wielkich ludzi w historyi, twierdzi, że wielkość ich zamyka się w tem, że bezwiednie wcielili w siebie ideał swojej rasy i swoich czasów. „Prowadzić można naród tylko wcielając w siebie jego marzenia. Dla Żydów Mojżesz był wcieleniem żądzy oswobodzenia się, którą ukrywały ich czoła niewolnicze, pocięte od biczów egipskich."

Autor nie jest bynajmniej zwolennikiem idei. Dla niego są to po większej części złudne mrzonki. Przyznaje jednak, że one to najwięcej szczęścia dały ludzkości, i że—choć nie zawsze bezpośrednio—wiodły ją jednak na coraz to wyższe stopnie udoskonalenia.

Z czystem sumieniem polecić możemy czytelnikom książkę Le Bon'a. Nie zawsze godzimy się z nim wprawdzie, zwłaszcza, gdy przechodząc na pole historyozofii stawia wróżby przyszłych losów Europy. Wydaje nam się, że pessymizm za daleko uniósł myśliciela. W każdym razie wiele głębokich poglądów i przestróg pouczających znaleźć można w jego pracy.

H. C.

KATO.

Powieść współczesna przez „Exterusa."

Sprawozdanie.

(Dokończenie.)

Nadmienić wypada, że zanim się Zygmunt na opuszczenie Warszawy zdecydował, i zanim przyjaciel jego, Kato, wszedł na drogę, na której ostatecznie losy jego rozwiązać się miały, oddawali się oni obydwaj dosyć chętnie życiu towarzyskiemu, i tu spotkali się z pierwszymi zamachami na męką swoją niezależność. Różne to, a nawet wprost odmienne były te dwie kobiety, które im na ich ścieżkach zastąpiły, i w różny też sposób przeszedł mimo nich każdy z tych młodych ludzi. Znamienieckim zawróciła sobie głowę, w ścisłem znaczeniu tego słowa, niejaka panna Sławska, Krępica pokochała zupełnie poważnie p. Rańkowska, bardzo piękna, moralnie biorąc, postać kobieca.

Znamieniecki dał się uplątać w romans, który następnie bez skrupułów wielkich odrzucił od siebie jako ciężar przykry; Krępic mędrkował zawsze, w danym wypadku niedomądrzył, może przemądrzył, a najprawdopodobniej był poprostu istotą gatunkowo niższą od tej kobiety, i dla tego czekał w życiu na coś bardzo wymownie kobiecego—coś, coby do jego uczuć, czy do jego zmysłów wyraźniej przemówiło.

Była tedy w ich życiu praca, myśl zabiegliwa o przyszłości osobistej, były usiłowania zdobycia jakiegoś wyższego stopnia materyalnej pomyślności, pozwalającej na związek z jakąś marzoną a nie wcieloną dotąd — innych pragnień ich młodzieńczego bytu, nie spotykamy w powieści, chybaby — chyba coś tak bardzo homeopatycznego, że o tem wspominać nie warto. Było raczej coś dokoła nich, a nie w nich samych bynajmniej. Ci dzielni technicy wyznawali prawdopodobnie wiarę pozwalającą fundować pomyślność zbiorową na wielkiej liczbie pomyślności indywidualnych, i dlatego około własnej chodził każdy wedle tego, co zaleca duch Boży, i dobrze pojęty interes własny.

Po wyjeździe tedy „ostatniego z romantyków" rysuje w dalszym ciągu Kato swoje hengwerki i wiadukty, filozofuje z Kubackim i dzieli czas wolny między wizyty przy ulicy Smolnej i takież na Złotej. Pierwsza odznacza się tem, że mieszkają tam pp. Bodziewiczowie, a raczej pani Bodziewicz z domu Olchowicz wraz z mężem swoim klasycznego sznitu małżonkiem i ojcem. Na Złotą uczęszcza Krępic, bo tam się gnieździ kolega Rańkowski wraz z córką Winią i jej licznem rodzeństwem.

Traf chce mieć, że na przechadzce w ogrodzie botanicznym, spotyka Kato pewnego dnia Bodziewiczów wraz z przebywającą u nich chwilowo panną Emilią Olchowicz. Jest to epoka wtórnego przedzierzgnięcia się tej chrysalidy. Fizycznie przeszła z chwiejnej łodyżki w jakiś typ stanowiący amalgamat Wenecyanki, Angielki i Polki, który odrazu oddziaływa na niezłomnego Katona, jakby nie był Katonem żadnym, a jednym z tych, którzy do niezłomności żadnej nie mają pretensyi. Moralnie biorąc rzeczy, przeskok jej jest niemal jaskrawszy jeszcze. Dotąd trzymała się stanowczo, ale mniej więcej odpornie — obecnie zaczyna atakować. Jest cięta, ma trochę dowcipu, śmiałości więcej niż dowcipu, więc szermuje języczkiem na wszystkie strony, szczególnie się mszcząc na przedmiocie stałej jak widać nienawiści swojej, mianowicie na instytucyi małżeńskiej. Jest w tych napaściach i teraz jeszcze sporo pensyonarskiej manjery, bo zapytana naprzykład czem się zajmuje w domu rodzicielskim, odpowiada z gryzącą ironią, że przyrządza rano i wieczorem kawę i herbatę, smaży konfitury, na święta piecze baby i mazurki i oczekuje na męża. Obecni panowie Krępic i jego satelita Kubacki zamiast zapytać poważną panienkę wprost, coby robiła gdyby nie te poniżające zajęcia, cieszą się tem niezmiernie, a Krępica zaczyna ta panna Emilcia wysadzać z siodła jego stoicyzmu?

Dlaczego? Zkąd? Poco? Nie wiemy. Prawdopodobnie dzieje się to na zasadzie powszechnego prawa, dzięki któremu mężczyzna poważny szuka kobiety trzpiotowatej — człowiek głębszego umysłu ogląda się koniecznie za dzierlatką jakąś, i bierze tę dzierlatkę, i uważa się w dodatku za szczęśliwego bardzo.

Niby gwoli zadosyćuczynienia zaprosinom starego Znamienieckiego i wywiązania się z komisów jego syna, jedzie Kato do Karolówki, a raczej do Kamionki Olchowiczów, którzy mieszkają z drugiej strony jeziora. W Kamionce panna Emilcia jeszcze piękniejsza, tak się przynajmniej wrażliwemu Katonowi wydaje, a ten powab podnosi u niego byle epizodzik, taki np. który wściubną poprostu pensyonarkę, w jego oczach zamienia w hero-

inę. Bo to ni ztąd ni zowąd panna Emilcia ot tak sobie, z braku zajęcia, uwzięła się odwiedzać jakąś Zośkę chorą, a raczej słabą tylko. Matka się dowiaduje i gryzie tem niepomiernie, papko Olchowicz wybucha i łamie sprzęty, a męczennica zyskuje miłą sposobność pozowania na ofiarę przed wielbicielem swoim. Gdyby Krępic nie był także wyszedł ztąd, zkąd wyszedł, łatwiej może byłby pojął, dlaczego obyczaj domowy naszej inteligencyi swojskiej uwalniał dotąd zupełnie młode panny od aktów miłosierdzia względem wszystkich kobiet w tem położeniu co Zośka, choćby one nawet nie Zośkami już były a jakiemiś Janowemi, Maćkowemi i t. p., Uwalniano je dla wielu powodów, między którymi był i ten najważniejszy, że dla mądrości pensyonarskiej wszelakiej Emilci nie było tam pola najmniejszego. Tymczasem Kato nie dojrzał w tym fakcie wściubstwa panieńskiego i chęci szukania wrażeń, a dojrzał natomiast gorące serce, duszę ofiarną i Bóg wie nie co tam jeszcze z jej strony, a ciemnotę i ucisk ze strony rodziców.

Ale jemu już pisano być takim. Widzi ją innym razem w transie zachcianki pedagogicznej, która u innej kobiety w jej wieku mogłaby być oznaką poważnego zapatrywania na życie i jego obowiązki — u niej zaś jest kaprysem przemijającym jak każdy inny. Nie przeszkadza to jednak naiwnemu Katonowi wzdychać z tej okazyi jak miech organowy i wołać w głębi duszy:

— Pójdź ze mną najdroższa! Będziemy nieśli razem nadzieję, wiarę, miłość i światło — tylko pójdź! A naturalnie!

Czego bo nie widzi mężczyzna kiedy zaślepnie na dobre.

Dochodzi nakoniec do tego, że Krępic występuje przed Emilcią z deklaracyą swoich uczuć. Wypada to tak, niby z okoliczności postronnej, bo panience narzucają rodzice swojego kandydata, Stobieckiego; ona mówi mu o tem i spowiada się z trosk swoich w tych słowach:

— Nie jestem dzieckiem — mam pojęcie, co to jest małżeństwo i uważam je za poniżenie kobiety, a gdybym miała prawo wyboru, wybrałabym sobie inny zawód. Ale ponieważ nie mam, więc mi to jest jedno: ten, czy ów.

Musiał rzeczywiście zupełnie nie być panem siebie, skoro go nie zraziła i tem jeszcze, a on nietylko że nie był zniechęconym, ale zaczyna opowiadać jej, że skoro ona nie robi różnic między mężczyznami, niechajże weźmie przynajmniej takiego, który życie oddać gotów, aby ją zrobić szczęśliwą.

Ona niby blednie, drży, ale chłodna w gruncie rzeczy jest mała doktrynerka, mówi mu tylko, że ona nie wiedziała, iż to robić może takie *wrażenie* — niespodziewała się i t. d. i t. d. Replikę ostateczną odkłada panna Olchowicz do namysłu głębszego.

Nie będziemy szli krok w krok za tym romansem technologiczno-feministycznym; wystarczy czytelnikowi, gdy go zapewnimy, że panna Emilcia uznaje Krępica za lepszego niż Stobiecki, a ponieważ siostra jej p. Bodziewicz, popiera kandydaturę inżyniera, mama Olchowicz nie jest mu także bardzo przeciwną, a papko zadowolony nawet, że mu posagu wypłacać nie każą, więc kładzie przyszłemu zięciowi ultimatum co do pensyi, jaką winien mieć człek zaślubiający pannę dobrego domu, i ostatecznie kończy się na tem, że do uwiązania sobie u szyi tego drogiego ciężaru nikt na przeszkodzie nie staje Krępicowi.

Niechajże na siebie czekają ci niedobrani, a my przeskoczmy znowu lat kilka i wielką moc peripetyj tego stosunku, i przyjrzyjmy się małżeństwu państwa Krępiców, obdarzonych już synkiem Zygmusiem, tak nazwanym ze względu na węzły przyjaźni z druhem młodości—Znamienieckim.

Jak żyją ci ludzie z sobą?— zapytacie czytelniczki. Dobrze! — odpowiemy wam krótko — bardzo dobrze nawet. On pracuje z zapałem, kocha syna, ubóstwia żonę; ona jest piękna — coraz piękniejsza, oswoiła się ze stanem małżeńskim, nie można nawet powiedzieć, żeby nie miała być dobrą matką; jednem słowem wszystko byłoby się ułożyło, gwoli doprowadzenia tego stadła w spokoju i szczęśliwości aż do lat sędziwych, gdyby...

Otóż to, że znalazło się *gdyby* — wielkie — ogromne *„gdyby,"* pod którego brzmieniem idzie na dno fregata małżeńskiego szczęścia państwa Katonów—idzie na dno nagle, niespodzianie a nieodwołalnie.

Zbudziło się w niej serce! Sie hat ihr Herz endeckt! Fatalne! Prawda? Stary dramat — czy stara komedya miłości! Cóż robić, zdarzają sie takie nieszczęścia i ex-feministkom nawet. Za sprawą jego majestatu księcia ciemności, strzelił nagle piorun w to serce, a że ugodził z tą samą siłą jednocześnie i drugie (rozumie się) męzkie serce, więc przy tej nowej a przepotężnej atrakcyi, nie dziw że pan Kato został wysadzony z siodła, a raczej wyrzucony za nawias, albo wyeliminowany, wedle tego, które wam się z tych dwóch ostatnich wyrażeń, jako zastosowanych do nieszczęśliwego w miłości technika, lepiej podoba.

Gdyby tym deus ex machina nie był wbrew wszelkim przewidywaniom, Zygmunt Znamieniecki, nieszczęście nie byłoby takie tragiczne i takie brzydkie nawet, ale to właśnie on — ten przyjaciel tyloletni, ten towarzysz nieodstępny.

A w dodatku nie jest on żadnym zdrajcą, tak jak ona nie jest bynajmniej kobietą upadłą. Broń Boże! Autor a raczej autorka, bo i to dla wiadomości czytelnika mamy sobie za obowiązek ujawnić, wie o tem dobrze, że dla osiągnięcia najwyższego napięcia tragicznego nie potrzeba wcale uciekać się powieściopisarzowi do upadku i niesławy. Osiąga też w istocie założenie i udowadnia, że bez staczania się po tej pochyłości aż do zdrady i wiarołomstwa, może być dwoje ludzi dosyć nieszczęśliwemi pod przemocą uczucia, które dla nich było uczuciem zakazanem.

Bo też istotnie jak gdyby Nemezis jaka ścigała ich oboje. Na niej mści się to fatum nieodgadnione za wszystkie chyba dziecinne bluźnierstwa przeciw prawu stworzenia recytowane, niby za panią matką pacierz — on w gruncie rzeczy ani romantyk, ani idealista żaden, potrzebuje zdać egzamin bierności, niedołęztwa i zdaje go z woli autorki, z wyróżnieniem. Daje się opanować uczuciu, nie ucieka, nie chroni się, nie ratuje swego męzkiego honoru, nie jest mocniejszym od biednej kobiety, ale dogorywa jak mazgaj prawdziwy i pozwala schnąć tej rozmiłowanej w sobie żonie przyjaciela młodości i matce dziecka, aż do obudzenia miłosierdzia w tym, którego ona krzywdzi tak ciężko.

Co zaś do Katona, to jużci i on mógł mieć jakieś swoje niewyrównane conto u fatalności. Nie raz i nie sto razy pokazuje życie, że nie może zostać bezkarnym ani taki wybór, jaki on zrobił, ani odrzucenie takiego serca kobiecego, jak'e on odrzucił.

Ale swoją drogą trzeba mu przyznać, że okazuje się on stoikiem, bo łączy ze sobą tych dwoje, a sam usuwa się w cień. Dziecko zatrzymuje przy sobie.

Nie potrzebował mścić się, bo ostatni epizod, ukazujący nam małżeńską parę państwa Znamienieckich gdzieś na południu, przekonywa, że los pomścił go sowicie. Ona chyli się ku mogile pod brzemieniem wielkiej tęsknicy za dzieckiem, a pewnie że już i pod wpływem wyniku porównań ze sobą tych dwóch ludzi tak różnej wartości; on patrzy w nią, a co mu tam mówi sumienie i co mu powie jeszcze ono w ostatniej godzinie, to już zostawia autorka domyślności czytelnika.

Złośliwe bóstwa ukarały ich oboje, dając im to, czego pragnęli najmocniej.

Cóż wam, czytelniczki, powiemy o powieści, jako utworze artystycznym?

Fabuła sama powiada, że musi to być albo dzieło zupełnie—skończenie piękne, albo jakieś przemielenie raz jeszcze sto razy mielonego już ziarna, rozpylonego na otręby oklepanek i komunałów. Bezstronność każe nam wyznać, że tylko pierwszą część tego przypuszczenia można zastosować do powieści noszącej tytuł „Kato." Psychologia charakterów, możliwe wprowadzenie w granice prawdopodobieństwa sytuacyi życiowych prawie że niemożliwych — wszystkiego tego dokazała autorka z niepospolitem powodzeniem. Nawet Kato, taki nadzwyczajnie trudny do pojęcia w zadaniu, które mu spełnić kazano, wychodzi zeń żyjącym i prawdziwym.

Powieść tę wolno nam zaliczyć do szczupłej liczby najlepszych, jakie się ukazały w ostatnich czasach.

A. S.

ODKRYCIE.

Epizod z naszej epoki.

(Ciąg dalszy).

Tak jak wyglądała panna Julia po odejściu ojca, wyglądają ludzie, którzy stanąwszy nad przepaścią radziby spojrzeć na jej dno, a nie starcza im na ten krok determinacyi i odwagi — i ci także, którzy się zbyt długo noszą z jedną myślą, od tej myśli niby od zmory dręczącej odżegnać się nie mogąc— wszyscy zresztą wogóle, którzy widzą przed sobą konieczność pójścia na prawo, albo na lewo, a jedno i drugie zarówno im się przeciwnem wydaje.

Czara jednakże stała pełna po brzegi i należało ją wychylić odważnie, albo wylać bez

długiego namysłu. Czas naglił, i dłuższe status quo po rozmowie z ojcem stawało się niemożliwem.

A tu właśnie wybór środków do przeprowadzenia tego, co sobie oddawna uplanowała, taki był trudny niezmiernie. Prosto do celu iść, znaczyło to prawie na pewno chybić tego celu; chodzić manowcami, szukać ścieżyn krętych? Na samo przypuszczenie czegoś podobnego obrzydzenie ją zdejmowało. Tak się to jakoś przedstawiało nie po kobiecemu, tak nielojalnie i poniekąd pospolicie nawet. A jednak — zdawało się, że nie można inaczej.

Umyć ręce własne od tej roboty — pozostawić ją komuś? Omało że nie krzyknęła z oburzenia na samą myśl takiego zszarzania nazwiska swego, które było przecież nazwiskiem jej ojca. Komentarze, ploteczki uwłaczające, obłudne oznaki współczucia — lepiej umrzeć odrazu! Pozostawał i on przecież—on, ten człowiek, którego będzie miała siłę odsunąć od siebie w razie ostatnim, ale na pośmiewisko publiczne oddawać go nie ma zamiaru. Przez lata całe, łączono ze sobą ich imiona, widywano razem oboje. Nie! po stokroć nie! Zrobi sama cicho, dyskretnie, albo wcale nie będzie zrobione...

Nie będzie zrobione?.. Czyż to mogłoby jednak pozostać tak jak było dotąd.

W godzinę jakąś potem widzimy pannę Julię idącą jedną z ulic pryncypalnych, ale dobrze umiałby patrzeć ten, ktoby ją poznał tak odmienioną, jak jest w tej chwili. Twarz osłania woalka prawie że nie przejrzysta, całość ubrania tak starannie obmyślana, aby nie zwracała uwagi, i może być, że gdyby nie ten chód szczególnie wdzięczny, nie ta postawa tak bardzo wyróżniająca, cel byłby do pewnego stopnia osiągnięty. Przy tem *ensemble'u* jednakże panna Julia osiąga skutek nieledwie że wprost przeciwny, dla dobrego mianowicie obserwatora. Każdy taki zapytaćby musiał: „gdzie się też wybrała incognito ta osoba i na jaką intencyę ta maskarada? Hm!..“

Panna Julia nie wie jednak nic o tem, idzie śmiało i niebawem skręca w jedną z przecznic. Tu w trzecim domu od rogu jest czytelnia abonamentowa, i tam widzimy ją wchodzącą ku niemałemu zdziwieniu naszemu, bo istotnie w takiem naprężeniu umysłu, i przy takiej trosce w duszy, wypożyczalnia książek jest chyba jednem z ostatnich miejsc, któreby komuś na myśl przyjść mogło. Skoro jednak tam a nie gdzieindziej weszła, zobaczmy o co jej idzie.

— Proszę pani — odzywa się głosem lekko drżącym p. Julia — numer 3271...

Panna załatwiająca interesantów nie daje jej dokończyć i rozejrzawszy się jednym rzutem oka po pułkach, odpowiada krótkiem:

— W czytaniu.

— Ja wiem, że był w czytaniu, ale ja umyślnie przyszłam... ja chciałam zawiadomić panią, że ta książka.. zginęła

— Ah to bardzo nieprzyjemnie!.. Tyle właśnie jest zgłaszających się o nią; wczoraj nawet wysłaliśmy z zapytaniem, i nie wiem dlaczego...

— To źle, że pani nie wie—pani powinna wiedzieć,—odzywa się cierpko chrapliwy głos, wychodzący z gardła kobiety niemłodej, zgryźliwego, zdaje się, temperamentu. Dobywa się to skrzeczenie z poza przepierzenia przy pomocy szaf i pułek książkowych urządzonego, a panna Julia uczuwa, że nigdy może interwencya osoby trzeciej nie była jej mniej na rękę jak w tej chwili. To uczucie przeciwności wzrasta, gdy z poza wełnianej kotary, spuszczonej między dwoma szafami, wynurza się zrazu siwa ogromnych rozmiarów grzywka, a za nią i całość osoby rozporządzającej tym naderwanym dyszkantem.

— Pani powinna wiedzieć—dokończa swojej tirady monitującej stara dama, że nazwisko i adres podane nam zostały fikcyjne, to też wczoraj posłany woźny w celu sprawdzenia rzeczy na miejscu, przyszedł z odpowiedzią stróża domu, który nam wskazano, bardzo dla nas dotkliwą. My nie nawykliśmy do tego, żeby nas ktoś mistyfikował, bo co się tyczy nazwisk, to można znaleźć w naszej księdze abonamentowej bardzo szanowne, chyba musiałabym tedy przypuszczać...

Stara dama dopełnia myśli swojej uśmieszkiem szyderczym, od którego krew napływa na twarz osłoniętą gęstym woalem, a nogi wypowiadają posłuszeństwo. A tymczasem właścicielka czytelni zwraca się do swojej podwładnej, zapytując:

— Więc gdzież jest ostatecznie ta książka?

— Ta pani mówi, że zginęła.

— To bardzo odpowiednie zakończenie całej sprawy. I zapewne będziemy musieli się zadowolić zastawem jako wynagrodzeniem — mówi wciąż do swojej wyręczycielki, ignorując tę stojącą na środku nieporadną męczennicę sytuacyi, która zdobywa się nareszcie na trochę przytomności, i zarręcza zgryźliwej jejmości jako jest gotową zapłacić wszelką cenę żądaną. Podają jej tę cenę w trójnasób wyższą niż się należało, ona dobywa z pośpiechem pieniądze, składa je na stole i znika jak może najprędzej z pokoju, w którym podłoga pali jej stopy.

Znalazłszy się w bramie ociera p. Julia pod woalem czoło gęstym potem zroszone, robi jeszcze jeden odruch, jak gdyby zamierzała się wrócić, a następnie gest rezygnacyi i wkrótce widzimy ją zwolna idącą do domu. Gdybyśmy mogli czytać w myślach tej osoby w chwili tego jej zniechęcenia, a następnie zamienić te myśli na dźwięki mowy, usłyszelibyśmy monolog tej dosłownie treści:

— Oto jak wyglądają pieszczochy losu w pierwszem lepszem zetknięciu z koniecznościami życia. Zdawało mi się, że dosyć będzie tego jednego kroku, żeby się odrazu dowiedzieć o wszystkiem. Nie dowiedziałam się nic, połknęłam przykre upokorzenie, i jestem równie mądra jak kiedym wychodziła na tę moją pierwszą samodzielną wyprawę. A przekonana jestem, że ktoś inny na mojem miejscu byłby doszedł kłębka po nici, bo jużciż nić była w moim ręku. Urwałam ją sama niezdarnem wzięciem się do rzeczy, i na teraz jak się zdaje, skończone. A dalej co? — zapytuje siebie wstępując na wschody domu. Okropna rzecz jest samo pomyślenie o pomocy obcej w tej sprawie drażliwej, a bez pomocy nie dokonam niczego, bo już zrozumiałam nareszcie żem nieporadna i trwożliwa i nie dosyć przytomna nawet. A gdybym nawet zdecydowała się na czyjkolwiek współudział w mojej ciężkiej trosce, to gdzie ten człowiek..

— Jeśli to nie przypadek a przeznaczenie wychodzi naprzeciw mnie w tej chwili — poszepnęła z rodzajem przestrachu p. Julia, to trzeba przyznać, że los okrutnik umie do udręczeń dodawać swoje szyderstwa. To indywiduum i pomoc czynna!.. ironja prawdziwa. No, wypijmy i ten jeszcze kielich goryczy dodatkowej!

Nieszczęśliwcem, który tak niepochlebny wykrzyknik pięknej panny wywołał, a który właśnie ciągnął za rączkę dzwonka wiszącego przy jej drzwiach, był tak nazywany w domu doktora L. kuzynek Hannibal. Nieszczęśliwcem nazwaliśmy go dlatego, że prześladowała go wytrwała niełaska powabnej kuzynki, do której przewracał oczy w sposób szczególnie komiczny, poczynając od piętnastego roku jej życia, a w części dla tego, że gdziekolwiek się ukazał budził podziwy niezaszczytne, a niekiedy i wybuchy wesołości wcale dlań nie pochlebne. A był wszędzie, nawet tam, gdzie go nie posiano. W towarzystwach, do których uczęszczał obarczały go kobiety niezliczoną ilością komisów, które spełniał bez szemrania, w biurze jego wyróżniająca rycerska postawa i jego słabiutki a raczej żaden charakter, były przedmiotem złośliwych napaści, które znosił z przykładną cierpliwością. W wypadkach natomiast, w które go uwikłało wszędobylstwo własne, odegrywał wielce komiczną rolę, szczególnie zaostrzoną przez to imię jego tak niefortunnie dobrane. Jednem słowem w towarzystwie spełniał p. Hannibal smutną misyę, którą ten tylko mógł ścierpieć, kto do niej latami całemi nawykał, a przez to do pewnego stopnia ignorować się nauczył. Doktorowi oświadczał się on corocznie o córkę w dzień jego imienin, ten odsyłał go do niej samej, a ona do licha ciężkiego w grzeczniejszych nieco wyrazach. Od czasu jak p. Julia została zaręczoną uroczyście, oświadczyn nie ponawiał, ale przybierała boleść jego tak ucieszne formy, że mu za to samo niedorzeczność jego pretensyi darowywano. Jednem słowem w domu doktora L. kuzynek Hannibal był codziennym prawie, nieuniknionym, ale więcej sprzętem jak człowiekiem. Ot, taki sobie jeden z wielkiej rodziny komparsów społecznych.

Takiego człowieka znalazła przed sobą młoda kobieta, w chwili ciężkiego udręczenia połączonego z poczuciem zupełnej prawie bezsilności własnej. To też nie dziw, że podczas gdy on w salonie oczekiwał jej powrotu, ona usiadła w swoim pokoju i oparłszy głowę na rękach oddała się cała myślom, które jej ów pierwszy chybiony krok w nowem a posępniejszem jeszcze niż przedtem ukazywał świetle.

Rozumiała już teraz dobrze, że zadaniu nie podoła, że jej potrzeba oprzeć się na kimś, znającym życie lepiej od niej, ale gdzie szukać tego zbawcy? Przebiegła koleją wszystkich znajomych bliższych i dalszych, kobiety i mężczyzn, i ani na chwilę jedną nie zatrzymała się myśl na żadnem z nich. Ci z jednych, tamci z innych względów na powierników tej delikatnej sprawy nie nadawali się w żaden sposób.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

KRONIKA.

Sprawy kościelne.

Na ostatni dzień roku upłynionego przypadła sześćdziesięcioletnia rocznica kapłaństwa Jego Świątobliwości Papieża Leona XIII.

Ojciec Święty urodzony w dniu 2 Marca 1810 r. liczy obecnie skończonych 87 lat wieku, święcenia zaś kapłańskie otrzymał w dniu 31 Grudnia 1837 r. W wigilię też Nowego Roku we wszystkich świątyniach wyznania rzymsko-katolickiego odprawione zostały uroczyste nabożeństwa na intencyę Jego Świątobliwości Głowy Kościoła.

W roku bieżącym przypadną dwie uroczystości dotyczące obecnego panowania, a mianowicie: wyboru na tron papiezki po zgonie Piusa IX, który miał miejsce w roku 1878, i koronacyi pod datą 3 Marca tegoż roku.

Czterdziestolecie.

Arcydzieło Moniuszki „Halka" obchodziła w Warszawie „czterdzieści lat swojego tryumfu na deskach teatru Wielkiego, a zarazem 587-me z rzędu przedstawienie swoje. Napisana w epoce kulminacyjnego rozwoju twórczości niezapomnianego pieśniarza naszego, czarowała ona nieporównanym wdziękiem swojskości tłumy całe, a znawcom i wtajemniczonym w arcana sztuki, dawała te zadowolenia estetycznej natury, jakie samo tylko mistrzowstwo formy przyoblekającej dzieło poczęte w natchnieniu, zapewnić może. Popularniejszych motywów od tych, jakich nam dostarczyła „Halka," nie mieliśmy nigdy, a złożyły się na to niezaprzeczenie i podsłuchane przez mistrza dźwięki pieśni rodzinnej, i liryzm poety, które wzięte razem, „Halce," jako całości gwarantują pod tym względem pierwszeństwo przed większą częścią oper lirycznych, posługujących się librettami bez treści, poetycznego nastroju, a niekiedy i zdrowego sensu nawet. „Halka" napisana była w swoim czasie z uwzględnieniem właściwości talentów wykonawczych dwojga niegdyś koryfeuszów tutejszej opery, i dla tego tych wysokich zadowoleń, jakie dawała ona ludziom ongi, dać już dzisiaj chyba nie będzie mogła. A może to ludzie byli inni, dusze młodsze, nastroje odmienne, bo faktem jest, że nie oddziaływa „Halka" tak jak oddziaływała w początkach swojego bezprzykładnego u nas powodzenia.

Szkoła i oświata.

Kurator Okręgu naukowego uwzględniając potrzeby kraju tutejszego, odznaczającego się przewagą liczebną żywiołu rolnego, zamierza wprowadzić w zakres nauczania elementarnego wiadomości z dziedziny rolnictwa, i jako środek do tego celu prowadzący projektuje kursa agronomiczne dla nauczycieli tychże szkół. Nauczyciele w czasie wakacyjnym udawać się będą do Instytutu Gospodarstwa wiejskiego w Nowej Alexandryi, aby tam słuchać popularnych wykładów agronomii, i odbyć studja praktyczne w miejscowej fermie doświadczalnej.

Na odbytem w ostatnim tygodniu zebraniu Towarzystwa Ogrodniczego, zakomunikował zebranym przewodniczący, iż kurator Okręgu Naukowego udzielił pozwolenie na systematyczny szereg pogadanek teoretyczno-praktycznych w zakresie ogrodnictwa dla członków Towarzystwa, amatorów, i uczniów ogrodniczych. Wykłady rozłożono tymczasowo na dwa lata; w pierwszym roku będzie 60 godzin — w drugim 64. Obejmą one: Teoryę ogrodnictwa, botanikę, zoologię, przetwory owocowe, uprawę gruntu. Odczyty wzięli na siebie pp. rektor Składowski, Wł. Gałecki, J. Parnowski, Piotr Hoser, Edmund Jankowski, Fr. Szanior, A. Zalewski, Zdz. Zieliński, Dyakowski, Umiński, Gebethner i Mutniański.

Sylwestrowski wieczór.

Tradycyjny bal obchodzony w Warszawie od lat bardzo dawnych, chybił w roku bieżącym zupełnie prawie. Ani publicznych, ani prywatnych zabaw huczniejszych nie miała do zameldowania czujna na wszystkie objawy miejskiego życia reporterya dziennikarska. Resursy i kluby milczące, nieożywione balowo i salony prywatne, które rade są przecież zamanifestować przy każdej sposobności żywotność swoją... choreograficzną. Choćby kto nawet nie przepadał za metodą hałaśliwej zabawy, musi jednakże zapytać, gdzie utonął bal sylwestrowski, czemu on ustąpił miejsca, bo to w każdym razie należy takie zarzucenie jakiegoś długo święconego zwyczaju do oznak czasu i charakterystyki danej epoki. Byle tylko nie roztopił się ten bal w życiu klabowem, bo byłoby to w takim razie wpadnięciem z deszczu pod rynnę, a my mamy do takich zmian na gorsze szczególne nieszczęście, i to sobie przy każdej sposobności powtarzać powinniśmy. Uczty, festyny—złe, ale oberża i jej akcesorya, zastąpić mające życie towarzyskie, to przecież chyba wcale niepożądana reforma.

Pogotowie ratunkowe.

Pod datą 29 Grudnia roku ubiegłego odbyło się ogólne zebranie Pogotowia ratunkowego, na którem obecnych było czterdzieści kilka osób, licząc w to już członków zarządu i lekarzy dyżurnych.

Przewodniczący oznajmił zgromadzeniu, iż stosownie do urzędowej wiadomości, otrzymanej w ostatnich dniach, zarząd miasta przeznaczył dla Pogotowia roczną zapomogę stałą w kwocie 5,000 rs. To też po odebraniu rachunków za cały czas trwania w Warszawie tej nowej instytucyi, ułożono preliminarz budżetowy na rok 1898, w którym przewiduje się takie pozycye: a) wymienioną subwencyę miasta 5,000 rs; ze składek 5,000 rs., z zabaw i koncertów 4,000 rs., z puszek i ofiar 2,000 rs., nadzwyczajne 2,000 rs. Razem przychodów 22,000.

Wydatki przewidywane są: lokal, sprzęty i utensylia, opał i światło 2,800 rs., wydział rucha 11,800 rs., inne drobniejsze pozycye 3,350. Razem przychody 17,950.

Poruszona była kwestya podwyżki dotychczasowej płacy lekarzom dyżurującym, ale sprawa ta, jako niepodlegająca roztrząsaniu zebrań ogólnych, została usunięta z porządku dziennego. Budżet zatwierdzony. Obecnie Warszawa znając poszczególne pozycye summy, stanowiącej obowiązkowy wpływ dla utrzymania instytucyi, będzie wiedziała, czego jej się trzymać należy, i jak starać o zapełnienie braków i niedoborów.

Do upowszechnienia.

Ogólne zgromadzenie Towarzystwa opieki nad ubogiemi matkami oraz ich dziećmi miało miejsce pod koniec Grudnia roku zeszłego. Ze sprawozdania, odczytanego przez prezesa komitetu hr. Sołtana, dowiadujemy się, że towarzystwo liczy stałych członków tylko 359. Na ogólną summę jego przychodów 12,238 rs. złożyły się takie pozycye: składki członków 2,664 rs., z renty i balu kostyumowego 5 543 rs., składka matek 1,114 rs., ofiara rodziny Natansonów 500 rs., Warsz. Tow. Ubezpieczeń 500 rs., legat A. Goldfedera 500 rs., z legatu hr. Ledóchowskiego 959 rs.

Wydatki wynosiły kwotę 14,098; w tem wydatki na żywność 2,365 rs. licząc 25 kop. dziennie na osobę, a utrzymanie dzieci na wsiach i zapomogi dla matek 5,845.

Majątek Towarzystwa wynosił 34,723, a obecnie zwiększył się on legatem ś. p. Czabana o 15,000 rs. Wszystko to jednak dalekiem jest od zaspokojenia potrzeb tej godnej najwyższego uznania a dalecko przewidującej instytucyi, bo oto w roku sprawozdawczym zmuszony był zarząd odmówić przyjęcia 144 kobietom. Większa część przychodów dotychczasowych czerpie się z balów, went i innych środków podobnych, które obmyśla z roku na rok gorliwość protektorek. Wśród nawały naszych potrzeb nie dziwimy się, że tak ciężko wegetuje jedno z najszacowniejszych dzieł kobiecego miłosierdzia, ale zaznaczamy bądź co bądź, że to jest wegetowanie zaledwie, i za obowiązek też uważamy sobie wspomnieć o tem w piśmie przeznaczonem dla kobiet.

Nowe książki

NADESŁANE REDAKCYI „TYGODNIKA."

Album Biograficzne Zasłużonych Polaków i Polek XIX wieku. Tom I zeszyt I. Wydawnictwo „Kuryera Niedzielnego."

Żywot Beldonka, część II z rysunkami Stankiewiczówny p. Adolfa Dygasińskiego.

Nakładem firmy S. Sadowski:

Panienka z okienka, starodawny romansik, przez Deotymę.

Nakładem firmy T. Paprocki:

Wieczory w Ojcowie, p. Lucyana Siemieńskiego.

Rugiwojscy, powieść p. Artura Gruszeckiego.

Bawcie się! druk S. Sikorskiego.

Wskazówki i rady.

Sposób na zwarzony majonez:

Często się zdarza, iż pomimo największego starania majonez się zwarzy, otóż wtedy pani za głowę się bierze i mówi że przepis zły. Idzie tu tylko o majonez „provensal," inny się nie zwarzy. Gdy się to stanie, zostawić zwarzone jajka z oliwą na boku, a wziąść świeże jedno lub dwa żółtka stosownie do ilości żądanej majonezu, rozsiekać je z oliwą dobierając po łyżeczce ów zwarzony, który się wkrótce zrówna zupełnie i będzie jednolity. Żadne pryśnięcie wodą lub octem, a nawet dobieranie świeżych żółtek nic nie pomoże, jest to jedyny i wyborny sposób.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W-na Stef. Bob. w Gniw. i Jul. Hejd. w Bracł. Postąpiono wedle życzenia.

W. Ad. Czerk. w Bał. Pozostałością 20 kop. rozporządzono wedle wskazania.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Bracka 13. Meble bambusowe „MAISON NIPON" Najtańsze i najładniejsze. Bracka 13

Ceny stałe, fabryczne.

GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

ul. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 55. W WARSZAWIE.

poleca na Gwiazdkę:

Chustki białe, kolorowe i jedwabne haftowane.
Ręczniki białe i z kolorowemi szlakami.
Garnitury kolorowe do herbaty w wielu odmianach.

Bieliznę mezką, Krawaty, Spinki
Bieliznę damską ozdobną.
Dywany. Portyery.

Ceny stałe, fabryczne

568—30—30

W Pierwszorzędnej Szkole Kroju i Szycia

EUFEMII PILNIAKOWSKIEJ

Mistrzyni Cechu Warszawskiego i Petersburskiego, uczennicy słynnego w Paryżu Worth'a.

Przyjmuje każdodziennie na kursy prywatne i z prawem zapisywania do zgromadzenia krawieckiego dla uzyskania kwalifikacyj na Podmistrzynie i Mistrzynie. *Patenty Cechowe* wydaje się. Przy szkole pracownia sukien, gdzie suknie krojone najdoskonalszym krojem wykonywują się bez wszelkich poprawek. ***Warszawa, Nowy-Świat № 12, 1-sze piętro, front.*** Filia szkoły w Petersburgu. ***Szkoła egzystuje lat 11.*** 731—10-7



Warszawa, Mazowiecka № 16.

NAJWIĘKSZE W KRAJU SKŁADY

Fortepianów, Pianin i Organów

HERMAN & GROSSMAN

Filie: St.-PETERSBURG ul. Morska № 33, MOSKWA Kuźniecki Most, LUBLIN Królewska № 207.

Sprzedaż na raty po rs. 25 miesięcznie. WYNAJEM.

Illustrowane katalogi gratis. 783—6-2



FABRYKA GORSETÓW Wilhelma Steinera

egzystuje od roku 1876 tylko przy ulicy Swiętokrzyzkiej N-r 34, róg Jasnej, Gorsety moje są do nabycia w Płocku tylko u Lubranieckiego.

Filii żadnej nie posiadam.

712—3-2

Egzystująca od roku 1824

FABRYKA WYROBÓW PLATEROWANYCH i Srebrnych 84 próby

Józefa Fraget,

w Warszawie, ulica Elektoralna Nr. 16.

WŁASNE MAGAZYNY ZNAJDUJĄ SIĘ:

W WARSZAWIE: Senatorska 17, Krakowskie-Przedmieście 69, Nalewki 16. ŁÓDŹ: Piotrkowska 16.

738-26-8

Składy Nici, Galanteryi i towarów Norymbergskich

ALOIZY LUDWIG

W WARSZAWIE. 790-12-1

Skład Główny ulica Senatorska Nr. 6. Filia Marszałkowska Nr. 119.

Na Gwiazdkę!

Księgarnia nakładowa

EMILA SKIWSKIEGO

Warszawa, Chmielna 26.

Poleca następująca dzieła dla młodzieży;

Esteja:
KRÓLEWICZ KĘDZIOREK I KRÓLEWNA PEREŁKA
Bajka, wydanie luksusowe ozdobione licznemi akwarelami i rysun. A, Borkowskiego w ozdobnej oprawie. Cena rs, 2.

Wiktor Gomulicki:
NIEDZIELE ROMCIA
z illustracyami. W kartonie. Cena 1 rs. kop. 50.

Stefan Gębarski:
Robinson Tatrzański
z illustracyami. Cena w kartonie 1 rs. kop. 50 w oprawie rs. 2.

Marcus i Aurelian
Opowiadanie z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Cena kop. 25.

ZDOBYCIE KONSTANTYNOPOLA
Opowiadanie historyczne. Cena kop. 25.

E. Jerlicz:
KREWNI
Powieść odznaczona na konkursie „Przyjaciela Dzieci." Cena kopiejek 80.

Br. Grabowski:
KOLEGA JULKA
Powieść zalecona do druku na konkursie „Przyjaciela Dzieci." Cena kop. 70.

M. Bzowska:
WIRGINIA
Powieść z pierwszych czasów chrześcijań... Zalecona do druku na konkursie „Przyja... Dzieci." Cena kop. 25.

J. Norman Lockyer;
Pierwsze początki Astrono...
Przełożył Władysław Skłodowski. Z licz... illustracyami w kart. Cena kop. 60.

Zuzanna Morawska:
Z dziejów słowiańszczyzny kresowej
Opowiadanie historyczne. Cena kop. ...

Teresa-Jadwiga:
DWIE SIOSTRY
Opowiadanie historyczne z czasów państ... rzymskiego. Cena kop. 25.

Talizman Janka
Cena kop. 25.

PRZYJACIEL DZIECI
z lat dawnych.
Rocznik zbrosz. rs. 4, w ozdob. oprawie r...

Do nabycia u wydawcy i we wszystkich księgarniach. Nadsyłający żądania wp... do nakładcy kosztów przesyłki nie ponoszą.

Szkoła rękodzielnicza dla kobiet

K. Mączyńskiej

747-6-3 Mazowiecka № 11, m. 8, w Warszawie,

przyjmuje uczennice przychodnie i pensyonarki: na **szycie krawieczyzny i bielizny, krój, sys... francuski. Haft biały i kolorowy,** złotem i srebrem. **Malowanie i wypalanie** na drzewie, rysun... introligatorstwo galanteryjne, gipiure, włóczkowe roboty, pończosznictwo, trykotaże, wyroby... skóry i krawaciarstwo. Pensyonarki mogą korzystać z fortepianu. Na żądanie wysyła się progr...

NAJLEPSZE MYDŁO DO PRANIA

bez przymieszki żywicy i innych surogatów. **Nadaje białość, zapach, dezynfekuje nie niszcząc bielizny** usuwa potrzebę używania chlorku, sody, bielideł etc. etc. Wyprobowane w szpitalach i pralniach za granicą i u nas. Wyrabia fabryka

„STĘPKOWSKI & SZYMAŃSKI"

Żądać wszędzie. *Warszawa, Wolność 16. — Telefonu 1110.* 707-26-1...

Najlepsze i najtańsze kajety, tornistry, wszelkie przybory szkolne, oraz pu... do owijania śniadań szkolnych, poleca SKŁAD PAPIERU

612—50—39

L. Poradzewskiego, Niecała 8.

Juliusz Zeyer.

JAN MARYA PLOJHAR.

PRZEŁOŻYŁ

MIRIAM.

(Ciąg dalszy).

W okamgnieniu stanęła Caterina koło nich.

— Co się stało?—krzyknęła blada i drżąca na całem ciele. Obie kobiety milczały przestraszone. Caterina nie pytała raz drugi, wybiegła na schody, gdzie słyszała ciężkie kroki Francesca.

— Powiedz mi wszystko—prędko!—krzyknęła rozkazująco na starca.

— Nie wiem nic pewnego, Contessino—odpowiedział—na dole stoi kmotr Nuccio i dziwi się, że *Stvale* wrócił sam, bez jeźdźca, parujący i zapocony. Contessina wie, *Stvale*, ten gniadosz, na którym...

Caterina zbiegła już była ze schodów. Rzuciła się na kmotra Nuccia.

— Powiedzcie wszystko!—prosiła go ze złożonemi rękami.

— Nie wiem nic — odpowiedział zdumiony jej zjawieniem się i przestraszony jej rozpaczą kmotr Nuccio. — Wysłałem chłopców na poszukiwania. Nie łatwo im będzie w nocy, ale mają psy ze sobą...

— Pochodni, świec, latarni! — wołała Caterina, jak bezprzytomna, i pociągnęła Nuccia za sobą na dwór.

— Stój, Contessino, na miłosierdzie Boże— prosiła Suntarella, która teraz ledwie ją dogoniła. — Dokąd chcesz iść? Po nocy? Pozwól tym ludziom...

— Nuccio, Nuccio — ozwał się w mroku nocnym świeży, młodzieńczy głos, jasny a przeciągły; dochodził z niezbyt daleka. Po nim ozwało się głębokie szczekanie psa.

— Cicho! — rzekł Nuccio. — Pacomo woła; zda się, że są na śladzie! Hola, jestem tu — hukał w ciszy nocnej, przyłożywszy ręce do ust w kształcie tuby—cóż takiego?

Chwilę było cicho w tej pięknej, uroczystej nocy, lejącej na bezbrzeża Kampanii bezdenną niemotę; tylko wiatr szeptał słodko i marząco, niby w przeciągłych westchnieniach, o swych tajemniczych wędrówkach w sfery nieznane. Potem, w księżycowem. sennem milczeniu, ozwał się znowu tenże głos, i falował w ciszy, i zamierał z wiatrem, który go przynosił i unosił.

— Znalazłem go! — wołał ten głos. — Nie wiem, czy żyje. Niech kto przyjdzie z pomocą. Poniesiemy go do domu! — I znowu zaszczekał pies i zawył widmowo.

Caterina jęła wyrywać się z objęcia Suntarelli, która ją trzymała.

— Pomocy!—zawołała—pomocy!

Francesco przyszedł z zapaloną latarnią.

— Gdzie—jesteś?—hukał Nuccio.—Pacomo, gdzie jesteś?

— U mokradli pod wzgórzem! — zadrgał znów świeży głos w uroczystej ciszy nocnej.

— Masz!—rzekł Francesco i dał Angiolinie latarnią.—Święć nam, córko, nie zaszkodzi to pomimo księżyca. Suntarello, jakiś kobierzec, albo szal, abyśmy go mogli lepiej nieść, skoro nie mamy mar...

Po chwili szli wszyscy w kierunku mokradli. Suntarella powstrzymywała ciągle Caterinę, która nic nie widziała, nic nie słyszała i biegła naprzód przed innymi. Mężczyźni hukali ciągle, że idą już, a głos Pacoma nie przestawał do pośpiechu ich wzywać.

Przyszli na miejece.

— Tutaj — rzekł Pacomo. Angiolina podniosła latarnię i światło jej padło na bladą, martwą, we krwi ubroczoną twarz młodzieńca. Angiolina i Suntarella wybuchnęły głośnym płaczem i wołały do świętych i aniołów raju, do Boga i Madonny. Caterina nie wypuściła z ust ani jednego słowa. Pomagała rozpościerać kobierzec, na którym mężczyźni ostrożnie ciało złożyli. Potem każdy z trzech mężczyzn ujął za jeden róg.

— Czwarty bierz ty, Angiolino—rzekł Francesco.—Silna jesteś.

— Ręce mi się trzęsą, boję się — rzekła z płaczem Angiolina, próbując jednocześnie spełnić jego rozkaz. Caterina wszakże odsunęła ją stanowczym, choć łaskawym ruchem.

— Świeć, Angiolino—rzekła swym głębokim, słodkim głosem, który nie zadrżał nawet. I sama ujęła za czwarty róg.

— Pójdźmy! — rzekła. I pomagała nieść go. Nikt nic nie mówił. Słychać było tylko westchnienie, czasem pies szczeknął przeciągle...

Tak, przynieśli go do domu. Nie poruszył się. Położyli go na ziemi. Suntarella pospieszyła zapalić lampę w jego pokoju, a Angiolina świeciła latarnią do sypialni, dokąd mężczyźni go wnieśli i zapaliła tam świecę. Contessina stała na progu.

— Ułóżcie go ostrożnie na łóżku — rzekła. Potem wróciła do pokoju, wzięła tam papier z jego kasetki i jęła pisać:

— Luigi! Na wszystko, co masz świętego na świecie, na Boga żywego zaklinam cię, przyjeżdżaj natychmiast! Idzie o życie moje. Idzie o wiele więcej...

Złożyła list i włożyła go w kopertę.

Mężczyźni rozbierali tymczasem chorego, który jeszcze się nie poruszył i ledwie oddychał. Położyli go na łóżku, a Suntarella obmywała go świeżą wodą.

— Pacomo! — zawołała Contessina z bocznego pokoju; gdy przyszedł, dała mu list.

— Znasz mieszkanie pana Galli? Byłeś tam nieraz.

— Tak, Contessino. Niedawno jeszcze, gdy byłem posłany do jego pani matki..

— Dobrze. Wybierz najlepszego konia z całego stada i pędź. Będę ci wdzięczna.

Uśmiechnął się i znikł.

Nuccio odszedł, Francesco i Angiolina sie dzieli za drzwiami na korytarzu i szeptali, potrząsając głowami.

Suntarella znosiła ocet, wodę kolońską i starała się z Contessiną przyprowadzić go do przytomności, ale napróżno. Jan Marya nie przebudził się. Oddychał wszakże i poruszał ustami, tak, iż wiedziały, że żyje. Wreszcie spostrzegły, że nic pomódz nie zdołają, siadły w jego pokoju, gdzie paliła się lampa, zostawiły drzwi do sypialni otwarte i postawiły tam świecę na boku, tak, aby był w cieniu.

Suntarella odmawiała różaniec. Caterina siedziała z głową wspartą na ręce. Nie myślała, nie czuła, nie modliła się, ale cała istota jejześrodkowywała się w jedynym rozpaczliwym, niemym wykrzyku duszy: „Boże!“

Od czasu do czasu otrząsała z siebie ołowianą tę ciężkość, wstawała, skradała się do jego sypialni, spoglądała nań lub kładła mu rękę na sercu, badając, czy jeszcze bije. Uciekały się znów z Suntarellą do wody kolońskiej, alo położenie się nie zmieniało... Czas mijał powoli.. Zdawało się to wiekiem całym. Ale nie wszystko pozostało bez zmiany, jak się to wydawało kobietom, bo choremu poczęła wracać powoli świadomość. Poruszyć się wprawdzie nie mógł, ale wiedział, co się z nim działo, wiedział, że już nie leży pośród trzcin na brzegu mokradli. Z wysiłkiem rozchylił powieki i zaczął rozpoznawać przedmioty w swoim pokoju. Ale nie zastanawiał się, w jaki sposób tam się dostał. Usłyszał szept obok w pokoju i poznał głosy Suntarelli i Contessiny. Ale oczy jego nie mogły znieść blasku, wpadającego przez otwarte drzwi, musiał je przymknąć znowu.

— Jakie to wszystko dziwne—rzekł sobie, a gdy jeszcze raz oczy otworzył i spostrzegł swe ręce, któremi poruszyć nie mógł, cicho, bezwładnie leżące, zdało mu się, że są to jakieś osobne, do niego nie należące przedmioty, i to znowu zmąciło mu jasność wyobrażeń.

Ogarnęło go znowu coś, jakby senność wielka, ale nie usnął. Tylko powieki ciężyły mu jak ołów; dusza czuwała, acz niby mgłą przesłoniona. Słuch za to był nader bystry.

— Ach, nareszcie, powóz! — posłyszał radosny, choć przytłumiony głos Cateriny. Tak miło mu było głos ten słyszeć.

Potem nastał gwar jakiś niewyraźny. Drzwi w obocznym pokoju, wiodące na korytarz, otworzyły się.

— Luigi, Luigi!—zawołała Caterina.—Niech Bóg ci to odpłaci! Pójdź!

Jan Marya rozeznał kroki jej od kroków Luigi'ego, gdy weszli do sypialni, i czuł przez zamknięte powieki nawet blask światła, które Caterina nad nimi trzymała.

— Powiedz Giggi, szeptała cicho Caterina (słyszał ją jednak)—powiedz, umiera?

— Jeszcze nie — rzekł doktór po chwili, i Jan Marya uczuł, jak wziął go za puls.

— Ty go uratujesz! — szeptała znów Caterina—w przeciwnym razie umrę także!—i postawiła świecę, której ręka jej utrzymać już nie mogła.

— Co to znaczy?—spytał Giggi zdumiony, mimo, iż go list i opowiadanie Pacoma na coś podobnego przygotowały.

— Ja go kocham!—rzekła namiętnie Caterina, długo powstrzymywane łzy trysły jej z oczu, i załkała.

Jan Marya drgnął, przejęło go uczucie tak niezmiernego szczęścia, iż zdało mu się, że umiera. Zebrał wszystkie siły, chciał przemówić, chciał się podnieść, wyciągnąć ręce, ale udało mu się na okamgnienie tylko rozchylić powieki.

— Cicho!—szepnął Luigi do Cateriny, która, zdało się, na pierś choremu chciała się rzucić, i wstrzymał ją w gwałtownym ruchu. Nie było tego potrzeby.

Pochwyciła jego spojrzenie, spostrzegła szczęsny jego uśmiech, ale ujrzała też, iż omdlenie powraca. Powstrzymała się sama w ruchu, tak nagłym i mimowolnym, i wzniosła tylko oczy w górę.

— Boże! — szepnęła, Ty nie dasz mu umrzeć! — a drżenie głosu, oraz wyraz twarzy wyjawiały dziką, namiętną nadzieję. Z niemą prośbą wzięła znowu doktora za rękę.

— Zrobię, co będę mógł, i niech mi Bóg dopomaga!—rzekł Luigi wzruszony, i zdumienie, oraz bolesny jakiś uśmiech, wywołany namiętnem wyznaniem dziewczęcia, znikły mu nagle z twarzy, ustępując miejsca energii i gorącej chęci sumiennego spełnienia obowiązku.

VII.

Dni mijały, i Luigi robił, jak powiedział, wszystko, co mógł, ale długo, długo się wahał, zanim wreszcie Caterinę jedynem słowem nadziei pocieszył. Acz było to słowo słabe, nic nieobiecujące, wystarczało jej przecież tak dalece, że wróciło jej żywot i siłę. Nie była się ruszyła przez całą tę smutną, straszną dobę prawie ani na chwilę od jego łoża, służyła mu jak siostra miłosierdzia, nie spała, nie jadła, nie żyła. Była blada, miała szerokie ciemne kręgi pod oczami, i Suntarella zaczęła lękać się o jej zdrowie, a nawet o jej życie.

— Jeżeli uratujesz go pan, — mawiała do Giggi'ego—uratujesz dwa życia, bo Contessina mówiła najszczerszą prawdę, gdy panu rzekła, że umrze z nim. O, ja wiem, co to miłość, panie. A znam też Contessinę. Postępuj pan tedy stosownie do tego.

— Przecież cudów nie mogę robić! — odrzekł jej rozgniewany. — Wszak widzisz, że czynię wszystko, co w mocy mej.

— I z pomocą Bożą uczynisz pan cud — rzekła Suntarella — jeśli tylko zechcesz. — Nie miała teraz najmniejszej ironii dla jego uczoności i wiedzy, z jaką nie taiła się kiedyindziej. Wierzyła teraz w jego prawie wszechmoc.

Musiał się uśmiechnąć.

— Pokuszę się o ten dziw — rzekł — i oto cud upragniony urzeczywistnił się.

Jan Marya powrócił z samego skraju grobu do nowego żywota. Siły jego przemogły po straszliwych zapasach — śmierć puściła go ze swych objęć. Oczy nabierały blasku, na twarzy rozniecał się lekki rumieniec, a uśmiech, pełny nadziei i szczęścia jaśniał mu na ustach, ilekroć oczy jego Caterinę spostrzegły. Sen, teraz już nie gorączkowy, zaczął go posilać, a sztuka kucharska poczciwej Angioliny odnosiła niektórych dni prawdziwe tryumfy. Jan Marya, choć słaby, blady i wyniszczony, zaczął żyć tak normalnie, iż doktór Luigi Galli, pewnego dnia oświadczył, że nadal nie będzie już tak często i nieodzownie jak dotąd w San Cataldo potrzebny, i że się teraz gorliwiej znowu pacyentami swoimi w Rzymie zająć zamierza.

Tegoż dnia Caterina, wyprowadzając go przy odjeździe aż na schody, ujęła naraz jego rękę i, nim się temu sprzeciwić mógł, przycisnęła ją do ust.

— Dzięki, dzięki! — szeptała jednocześnie. Cała twarz jej była jedną promienną światłością, a oczy tonęły we łzach.

Luigi był tak wzruszony, że mówić nie mógł. — Caterino — rzekł wreszcie — nie chcę cię łudzić. Nie raduj się zbyt wcześnie.

Gdy uśmiech jej zgasł, zrobiło mu się żal, że te słowa wymówił, dodał tedy spiesznie:

— Będzie lepiej, jeśli przyjaciel nasz przeniesie się, gdy sił nieco nabierze, do miasta. Tam będę zawsze w pobliżu, i gdyby...

— Powiem mu to — odpowiedziała, ocierając łzy z westchnieniem.

— Nie — rzekła po chwili do siebie — Luigi myli się przez zbytnią ostrożność. Niebezpieczeństwo minęło. — I uśmiechnęła się znowu.

Choremu wszakże nie przybywało tak szybko sił, jak się było z początku zdawało. Leżał po całych dniach na kanapie w zadumie, w półomdleniu, często w letargu aż niepokojącym.

Caterina przychodziła stale do jego pokoju, jak wprzódy, i spędzała tam cały swój czas. Jej obecność była dlań prawdziwem źródłem żywota. Sam już głos napawał go szczęściem niewymownem, a oczu nie mógł dość jej pięknością, jej wdziękiem nasycić. Nie wiedział, kiedy była piękniejsza, w oświetleniu ognia, który w dni chłodne na kominku zapalano, czy w glory i blasków słonecznych, wdzierających się w dni pogodne przez otwarte okno do pokoju. Opowiadała mu swym słodkim, miękkim, z głębi piersi idącym głosem tyle, że niekiedy sama się dziwiła, zkąd jej wszystkie te myśli, te refleksye i wspomnienia przychodzą. Jeśli zdawało jej się, że opowiadanie go męczy, śpiewała mu cicho bez wtóru jakiegobądź narzędzia proste pieśni; częstokroć czytywała mu, to z Tassa, to z Schelley'a, albo całe sceny i akty z Racine'a, Alfierego i Moliera, skoro spostrzegła, że w tych autorach szczególne znajdował upodobanie. Tak mijały im dni w ścisłej przyjaźni, pełnej delikatności ze stron obu. Słodkie to zbliżenie nie zostało nigdy przez gorętsze spojrzenie, ani najsłabszą aluzyę do ich uczuć zaniepokojone.

Jednego dnia wszakże był taki zamyślony, że nawet „Szachrajstwa Scapin'a" uśmiechu mu na usta nie wywołały, choć Caterina scenę z bastonadą i workiem z niewymownym czytała humorem.

Odłożyła książkę i, wziąwszy do rąk robotę, milczała przez chwilę.

— Czy czujesz się pan gorzej? — spytała potem z niepokojem.

— Nie — odpowiedział i podniósł ku niej z westchnieniem wilgotne, proszące oczy.

— Cóż więc pana trapi? — spytała, kładąc mu z siostrzaną ufnością rękę na ramieniu.

Wziął tę rękę i przycisnął ją silnie do serca.

— Dwie rzeczy mię trapią—rzekł cicho.— Nie zgadujesz pani?

— Nie umiem zgadywać — uśmiechnęła się. — Poddaję się z góry, powiedz mi pan więc sam. Dwie rzeczy? Po pierwsze zatem?

— Po pierwsze — rzekł, drżąc ze wzruszenia — po pierwsze, że nie wiem, czy był to sen czy prawda, iż powiedziałaś pani wówczas, owej nocy, gdym walczył między życiem i śmiercią... O, czy powiedziałaś pani wówczas istotnie: Ja go kocham?

— Powiedziałam—i powtarzam to; bo wiem, że i ty mnie kochasz. Twoje spojrzenie od powiedziało wówczas za ciebie — rzekła prosto, z głębokiem uczuciem i niebiańskim spokojem, zanurzając wielkie, niewinne, czarodziejsko piękne źrenice swe w jego źrenicach.

Powiedziała mu ty! Wyznała mu znowu miłość swoją! Jan Marya nie mógł się zdobyć na najmniejsze słowo, zajaśniał szczęściem nieskończonem, przycisnął znowu jej rękę do serca, do ust, a głębokie łkanie wzdęło mu piersi, choć do wilgotnych, marzących jego oczu łza żadna się nie cisnęła.

Patrzyli się w oczy jedno drugiemu, marzącem ubóstwieniem. W końcu wszakże czoło jego zmoczyła chmura. Puścił jej rękę.

— Cóż trapi cię jeszcze? — spytała z zadziwieniem poniekąd i jak gdyby budząc się ze snu.

— Caterino—rzekł i spuścił oczy.—Caterino, jakże cięży mi świadomość, że na to szczęście nie zasługuję! Caterino, ty nie przeczuwasz, jakie otchłanie ma życie... Ty, nie wiesz, co to jest wina, nikczemność, hańba. Ty nie przeczuwasz, jakiem piekłem są wyrzuty sumienia, jak palącą jest skrucha... Caterino, wiem, że w gorączkowem wzburzeniu tych długich nocy opowiadałem ci całe ustępy swego żywota, żem duszę twoją opowiadaniem o wszystkich tych ohydach nieczystych namiętności dręczył, urażał... Caterino, jakże bym mógł zbliżyć się do ciebie... ja... ja...

Położyła mu rękę na ustach. Rumieniec przeleciał jej twarz. Tak, mówił, oskarżał się dziko, zaklinał ją, aby swą jasną twarz od niego odwróciła, aby go opuściła, pozostawiła śmierci, rozpaczy i piekłu. Tak czarno się malował, że Caterina osłupiewała, nie wierzyła, nie pojmowała, przedewszystkiem wszakże litowała się nad nim, bo jedno widocznem było: że cierpiał niezmiernie! Dla cierpienia miała jedno tylko uczucie: litości bez granic.

— Janie Maryo — szepnęła — nie mów już nigdy o tem.

— Nie mogę przecież milczeć — zawołał. — Caterino, nie mogę cię oszukiwać!

— Nie mów już o tem — rzekła swym cichym głębokim głosem, patrząc czarodziejskiemi swemi oczyma w jego oczy. Umilkł, ukołysany czarem tego spojrzenia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przedmioty Gospodarstwa Domowego *Jerozolimska 72*

MAGAZYN „METROPOL”

Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo *Jerozolimska 72* 766—50-5

Warszawski Zakład Ginekologiczny

Marszałkowska 45,

D-rów Borysowicza, Brühla, Gromadzkiego, Kuniewicza, Natansona, Thiemego, Tyrchowskiego i Winawera

przyjmuje osoby dotknięte chorobami kobiecemi, jako też spodziewające się słabości, za opłatą od 1 do 5 rs. dziennie za całkowite utrzymanie, leczenie, lekarstwa i t. p.

Ambulatoryum dla niezamożnych chorych codziennie od 1—3. Cena **30 kop.** Biedni bezpłatnie. 524—50—47

BIURO

Zofii Masłowskiej

Włodzimierska № 9

poleca: Nauczycieli, Nauczycielki i Bony różnej narodowości. 581—25-22

!!!WAŻNE DLA DAM!!!

Nowo-otworzony Magazyn

Okryć Damskich

S. LEWI,

Niecała 12, I-e piętro.

Roboty wykonywają się przez krawców mężkich, podług ostatnich żurnali w najkrótszym terminie.

CENY NAJPRZYSTĘPNIEJSZE. 686-25-11

ŻAŁOBA

26. Nowy-Swiat 26.

vis â vis Salonu Artystycznego.

ŻAŁOBNE

Suknie i kapelusze

Krepa, woalki, ubranka i t. p.

Specyalny

Magazyn Żałobny

przy Kantorze pogrzebowym

W. ŚWIEJKOWSKIEGO.

26. Nowy-Swiat 26.

ŻAŁOBA

721——13

Nowo-otworzony Magazyn Mód

L. ZIELINSKA

11. NIECAŁA 11, I piętro. 692-40-20

SAINT-LÉHON

Wino toniczne, odżywcze i wzmacniające, prawdziwe i jedyne wino dla rekonwalescentów. Do nabycia we wszystkich aptekach i składach aptecznych. 729-25-13

Słynne krople

Amerykańskie

OD BÓLU ZĘBÓW

Hipp. Majewskiego

Dostać można we wszystkich Aptekach i Składach Aptecznych.

Cena pudełka rs. 1.25

rs. 1.—

Sprzedaż hurtowa

ul. Złota Nr. 61.

737-6-5

Ważne dla pp. Krawcowych!

Kroazy we wszystkich kolorach, Nicianki, Towary Norymberskie i wszelkie dodatki do sukien po cenach najniższych 758-25-4

poleca Magazyn

M. SADOWSKIEGO

7. PODWALE 7.

MAGAZYN MÓD

i Pracownia Sukien

J. Królikowskiej

Niecała № 7, Marszałkowska № 114.

Polecają najnowsze fasony na każdy sezon po cenach umiarkowanych. 726—25-7

PRACOWNIA

Konfekcyj Damskich

Złota 25, mieszkania 6 (front).

Przyjmuje obstalunki oraz wykonywa gotowe fasony z własnych materyałów od 18 do 25 rs. 745-12-5

WYPOŻYCZALNIA (CZYTELNIA)

KSIĄŻEK

polskich i francuskich

przy Księgarni Sortymentowej i Składzie Nut **MAURYCEGO ORGELBRANDA, M. Machwitz** w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika. Wysyła się i na prowincyę. 748—25-8

NOWOŚĆ!

Hurtowa i detaliczna sprzedaż ulepszonej nafty z dostawą do domu. Garniec 32 kop.

„NAFTOL”

Królewska 16. 756-12-6

Po dziesięcioletniej praktyce w pierwszej hafciarni Panny Bobrowskiej, otworzyłam pracownię haftów i przyjmuję roboty maszynowe i ręczne. 759-24-4

Miodowa Nr. 1.

miesz. 17, 2 brama 1 piętro

DOZWOL. przez Urząd Lekarski za N. 337



PUDER

Jedynie nieszkodliwy

prawdziwy tylko w opakowaniu jak obok. Pudełko po 15, 30 i 50 k.

768—20-5

Przedpłata zniżona od Now. Roku.

na miesięcznik

„PSZCZELARZ I OGRODNIK”

w Warszawie i **z przesyłką pocztową rs. 3 rocznie; dla wszystkich członków** Tow. Pszczel.-Ogrodniczego **rs. 2** rocznie. Kancelarya Tow. Pszcz.-Ogr. **(Wiejska 12)** na żądanie wysyła bezpłatnie numera okazowe.

Egzystująca od roku 1879

FABRYKA NOŻOWNICZA

i Wyrobów Stalowych

KAROLA KALINOWSKIEGO,

dawniej **Przewoskiego.**

Poleca gotowe wszelkie wyroby nożownicze. Obstalunki i reparacye po cenach możliwie niskich, stałych.—**Fabryka: Marszałkowska 13, sklep: Rymarska 20.** 774-25-2

Pralnia Chemiczna

E. SPONAR

Chmielna 10, m. 17. 743-12-11

FABRYKA SZCZOTEK i PĘDZLI

M. TENCERA

WARSZAWA, Krakowskie-Przedmieście Nr. 39 (obok hotelu Saskiego).

Sprzedaż hurtowa i detaliczna po cenach umiarkowanych. 671—50-26

PIERWSZA SZKOŁA KROJU I SZYCIA

M-me MERCÈRE

Nowy-Świat № 20.

Kursa wyższe i niższe, teorytyczne i praktyczne, system oryg. **Paryski**, zdejmowanie fasonów bez rysowania form, warunki b. przystępne, wykład w 4-ch językach, uczennice otrzymują **patenta z Cechu.** Pensyonarki korzystać mogą z fortepianu, konserwacyi francuskiej i niemieckiej. 788-6-2

---

17. Krakowskie Przedmieście 17.

GEBETHNER i WOLFF

NAJWIĘKSZY W KRAJU



SKŁAD FORTEPIANÓW

Pianin i Organów.

501—52-50

749—12-8

KEFIR K. ŻYCKIEGO, APTEKARZA, Chmielna 23.

765—13—6 **DOSTAWCA DWORU JEGO CESARSKIEJ MOŚCI**

24 Nowy-Swiat 24

K. M. Schröder

24. Nowy-Swiat 24

POLECA:

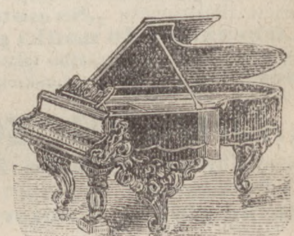
FORTEPIANY i PIANINA

w wielkim wyborze i po cenach przystępnych

w Składzie fabrycznym

w Warszawie.

ILLUSTROWANE CENNIKI na żądanie gratis i franko.



24. NOWY-SWIAT 24

ŁYŻWY

po cenach b. przystępnych poleca

M. SZYMAŃSKI

Senatorska 10. 769B—6-5



MAGAZAN **PATENTOWANYCH**

BIUSTHALTERÓW SZYNDLERA

Senatorska № 26.

Poleca także wielki wybór

GORSETÓW

według najpierwszych modeli zagraniczuych z najlepszych materyałów po cenach przystępnych. 776A-20-3



Szkoła Rzemiosł żeńska

KORYCIŃSKIEJ

Krakowskie-Przedmieście 17,

Nagrodzona na wystawach w Warszawie medalami bronzowymi i złotym, w Petersburgu najwyższą nagrodą, w Czykago medalem i dyplomem.

Zapisy przyjmuje na krój sukien, bielizny, szycie, haft, modniarstwo, krawaty, roboty włóczkowe, litografia, rysunki, malarstwo zastosowane do przemysłu. wypalanie, koszykarstwo, introligatorstwo, mozajka drzewna.

Pęsyonarki przyjmuje. 791-3-1